



Rok VI. Warszawa, 6 lutego 1921 r. № 6 (138)

TREŚĆ NUMERU: Wyjazd Piłsudskiego do Francji. — Wieści z Ukrainy — Mój wywiad z panią Madzią. — *Sprawa wojska*: Z dni wielkich klęsk i wielkich zwycięstw. — Światła i cienie. — *Z życia żołnierza*. — *Życie*: Prace na dziś i jutro. — *Z Polski i ze świata*. — Prasa. — *Rzeczy różne*.

Wyjazd Piłsudskiego do Francji.

Kto wspomni dziś stosunki polsko-francuskie przed wojną—i zestawí z tem, że dziś w Paryżu Józef Piłsudski podejmowany jest jako reprezentant suwerennego państwa polskiego, ten będzie miał miarę ogromnej zmiany dziejowej, jaka w położeniu naszym zaszła. Kilka jeszcze lat temu opętana sojuszem z Rosją biurokracja francuska, kontrolowana pod tym względem przez Izwolskiego, nie uznawała narodowości polskiej i nie tylko poddaństwo państwowe lecz i *narodowość* emigrantów naszych określała przemocą jako rosyjską. Dziś naród francuski z właściwym mu entuzjazmem bierze udział w uroczystościach na cześć Naczelnika państwa polskiego; na ustach wszystkich obywateli, na szpaltach wszystkich pism jest tam Polska, jej bohaterstwo wcielone w Wodza naczelnego wojsk polskich, jej sprawy, oraz wzajemne sojusznicze stosunki polsko francuskie.

Upadek imperjum rosyjskiego i rewolucja były tymi faktami, które wywołały zasadniczy przełom w stosunku Francji współczesnej do Polski. Wyniki przełomu tego realizował politycznie pierwszy Komitet Narodowy, przesiedlony po rewolucji z Petersburga do Paryża — i to jest niewątpliwą jego zasługą. Inna rzecz, że realizował źle. Zemścili się na jego działalności nałogi moralne polityków, których dotychczasowej działalności treścią było przystosowywanie się do niewoli. To też stosunek Polski do Francji postawił komitet paryski jako stosunek wassala do protektora — i osiągnąwszy w ten sposób łatwy sukces uznania siebie za *gouvernement regulier* Polski zachował z partyjną zawziętością rodzący się tymczasem w kraju nowy stan rzeczy, na poczuciu niezależności przedewszystkiem oparty. Pamiętamy wszakże wszyscy, że jeszcze dwa lata temu w parlamencie francuskim nazywano Piłsudskiego pruso-polakiem (*polono boche*) i przeciwstawiano mu Dmowskiego; — a czynił to ówczesny minister spraw zagranicznych, p. Pichon.

Trzeba było dopiero przekonywującej wymowy faktów, by oficjalna polityka francuska uwolniła się od sugestji narzuconej przez dotychczasowe dzieje i wmówionej przez polityków polskich, których umysły i charaktery wypaczone zostały przez niewolę. Trzeba było doświadczeń licznych, by Francja oficjalna zrozumiała, że może mieć z Polski sprzymierzeńca, ale nie wassala — i że ci, którzy sprawę przedstawiają jej inaczej, nie reprezentują Polski i nie orjentują się w jej faktycznych stosunkach i aspiracjach. Dziwnym zbiegiem losów nie mała, może nawet decydująca pod tym względem rolę odegrał ostatni okres wojny polsko-rosyjskiej, ten okres, w którym rozstrzygającą rolę obrońców Polski zwoleńnicy owej wassalskiej polityki przypisać chcieli generałom francuskim. Ci właśnie po żołniersku myślący mężowie przekonali się w owym czasie naocznie, że Polska jest samodzielną siłą, bo choć nie otrzymała realnej pomocy z zewnątrz — potrafiła wygrać wojnę. I zawieźli niewątpliwie do swej ojczyzny opinię, że Polskę reprezentują nie ci wcale, którzy zagranicą za jej jedynych reprezentantów do niedawna potrafili uchodzić, a w kraju umieli w rozstrzygającym momencie siać tylko strach, panikę i intrygi. Przekonała się Francja, że są w Polsce czynniki samodzielnej siły i samodzielnej polityki, i że z nimi właśnie sojusz polsko-francuski warto realizować. Naczelnym wyrazem tych czynników w Polsce jest Piłsudski, który logiką dziejów, a nie przypadkiem stanął w momencie narodzin państwa na czele Polski — i na czele jej armji.

Wyrazem zewnętrznym tego zrozumienia jest obecna wizyta Piłsudskiego w Paryżu.

Wyniki jej i korzyści jakie stąd wypłyną dla Polski zawarte są właśnie w tym naczelnym fakcie. Główną prerogatywą Naczelnika państwa jest reprezentacja wobec czynników zewnętrznych. Piłsudski własną pracą i rolą jaką odegrał stał się wyrazicielem samodzielności Polski i dążeń jej do spełnienia wielkiej roli dziejowej w Europie. Dotychczasowy sposób w jaki reprezentował Polskę, gdy prowadził jednolitą politykę na wschodzie mimo ciągle zmieniających się nastrojów Ententy wobec bolszewików z jednej, a Denikina, Wrangla i t. d. z drugiej strony, albo gdy zagroził ustąpieniem ze stanowiska Naczelnika w chwili, gdy Zachód nosił się z zamiarem wystąpienia przeciw Polsce w sprawie Wilna i Żeligowskiego — dają gwarancję, że w zetknięciu się osobistym z decydującymi czynnikami Francji potrafi ugruntować stanowisko Polski jako niezawisłego, zdolnego do samodzielnej roli narodu, — a tem samem pożądanego sprzymierzeńca.

A korzyści doraźne, ekonomiczne, wojskowe, polityczne — te zrealizować będzie zadaniem codziennej polityki najbliższych dni i późniejszych miesięcy. Jest coś nieprzyzwoitego w sposobie odnoszenia się niektórych sfer polskich do tego rodzaju spraw. Tułają się tu i ówdzie resztki dworactwa i niewolnictwa. Z jednej strony tak wiele się mówi o „potężnych aljantach“ „protektorach“ z drugiej — co jest objawem tej samej psychologii — chce się namacalnie przekonać o ich „życzliwości“. Zgóry można być pewnym, że zaraz po powrocie Piłsudskiego wielu będzie mu chciało zajrzeć do kieszeni i sprawdzić, jakiego gościńca z Paryża przywozi: może jaki układ handlowy może konwencję, albo zgoła „gwarancję“ w sprawie śląskiej.

W sprawach tych jednak więcej przystoi godności. Oficjalne przyjęcia — takie nawet jak te, które odbywają się w Paryżu obecnie — nie uwalniają od realnej pracy politycznej.

Adam Płomieńczyk.

Wieści z Ukrainy.

Niedawno miałem sposobność zasięgnąć informacji z pierwszego źródła o obecnej sytuacji na Ukrainie, będącej pod władzą „bolszewicką“. Informacje te otrzymałem od dwóch prostych chłopów ukraińskich z Kijowszczyzny i Połtawszczyzny. Byli to przedstawiciele tego potężnego ruchu powstańczego, który ogarnia coraz szersze koła wśród ludu ukraińskiego. Obaj

są przywódcami partyzanckich oddziałów, jakich pełno jest obecnie na Ukrainie. Obaj niezależnie od siebie byli wysłani przez oddziały swe do Polski, aby dowiedzieć się, co ona myśli w sprawie Ukrainy, czy chce jej dopomóc w walce o wolność i niepodległość.

Oto ze słów tych dwóch przedstawicieli ludu ukraińskiego widać, że Polska tam za Dnieprem jest otoczona już piękną legendą. „Polska idzie pomagać atamanowi Peilurze wyzwolić nasz kraj“. Taka wieść z błyskawiczną szybkością szerzyła się wśród ludu ukraińskiego w chwili rozpoczęcia naszej ofensywy na Kijów.

I na wieść o tym ludność chwytала za broń.

Jak się okazuje z zupełnie zgodnych opowiadań tych dwóch przedstawicieli ludu ukraińskiego, którzy spotkali się ze sobą dopiero w Warszawie i przedtem zupełnie się nie znali — na Ukrainie Zadnieprzańskiej wciąż trwają powstania. Opada fala i znowu się podnosi — lecz stan zapalny jest ciągły. Faktycznie w gub. Kijowskiej, Czernihowskiej, Połtawskiej, Chersońskiej władza „bolszewicka“ nie sięga dalej poza większe miasta.

Są całe powiaty, nie mówiąc już o gminach, które przez jeden nawet dzień nie miały u siebie żadnych „sowietów“ — istnieją tam własne zwykłe demokratyczne ciała samorządowe. Najbardziej opornym jest lud ukraiński w Kijowszczyźnie. Tam dotychczas „bolszewikom“ nie udało się ani razu przeprowadzić mobilizacji. Na każdą mobilizację lud odpowiada powstaniem, napada na miasteczka, gdzie mają siedzibę komisje mobilizacyjne, podpala domy gdzie te komisje urzędują, zabija komisarzy i rozpędza rekrutów.

W Kijowszczyźnie działają dwa typy powstańców: partyzanci i właściwi powstańcy. Pierwsi — to ci którzy formują stały oddział, toczący bezustanną walkę z wojskami „bolszewickimi“, przerzucający się z miejsca na miejsce. Drugi — to powstania chwilowe. W danej miejscowości zrywa się cała ludność, od starców do dzieci, wypędza bolszewików, ich oddziały karne — a po wypędzeniu uspakaja się i zabiera do zwykłych swych zajęć.

Jak dalece postąpiło uświadomienie narodowe świadczy fakt, że „bolszewicy“ próbując rozpocząć agitację np. za mobilizacją wysyłają agitatorów władających językiem ukraińskim, którzy wygłaszają mowy i rozdają literaturę włącznie w języku ukraińskim. Nie pomaga to jednak wiele. Ludność agitatorów tępi bez litości.

W czasie ofensywy polskiej po odparciu bolszewików

od Warszawy i przekroczeniu przez wojska Petlury Zbrucza ludność ukraińska za Dnieprem znowu chwyciła za broń i coraz to większa ilość oddziałów partyzanckich zbliżała się do Kijowa, gdzie wśród „bolszewików” powstał popłoch; sądzili oni, że to zbliża się Petlura, a skorzystało z tego około 70 tysięcy zgromadzonych sił w Kijowie rezerwistów i rozbiegło się.

Zawarcie przez Polskę zawieszenia broni z „bolszewikami” wywarło wstrząsające wrażenie na ludność ukraińską za Dnieprem. Przyszła klęska Wrangla, później Petlury — i ludność ogarnęło ogromne zniechęcenie i rozpacz — sądzono że wszystko zginęło.

Tymczasem „bolszewicy” rozpowszechniali szeroko wiadomość o klęsce Petlury i rzekomym jego aresztowaniu przez Polskę, rozpoczęli wyteżoną akcję rekwizycyjną. Wywołało to znowu powstanie ludności, która nie chce słyszeć o rządach „bolszewickich”. W połowie stycznia — jak opowiadał delegat z Kijowszczyzny — cały kraj stał w płomieniach powstań.

Kijów był w promieniu 50 kilometrów otoczony przez oddziały powstańcze, które odcięły go od reszty świata, nie dając nic dowozić do miasta i nie wypuszczając z niego nikogo.

Na wielkiej naradzie przywódców powstańców postanowiono podtrzymywać dalej ruch zbrojny, dowiedzieć się co myśli Polska robić — i jeśli, jak oświadczył rozmówca, Polska istotnie zawarła pokój z „bolszewikami” to wszystko jedno ludność ukraińska na wiosnę wystąpi z ogólnym powstaniem przeciwko ciemierzcom.

Dotychczasową klęską powstań był brak wszelkiej koordynacji w działaniu. Każdy oddział działał na własną rękę; nie wiedząc co się dzieje w sąsiednim pawecie. „Bolszewikom” ogromnie to ułatwiało likwidowanie powstańczych oddziałów. Obecnie przywódcy powstania odbywają ze sobą narady, podzielili całą kijowszczyznę na okręgi, gdzie na czele wszystkich oddziałów stoi jeden wspólny dowódca, który znowu jest poddany kierownictwu jednolitego sztabu.

Tak się przedstawiają sprawy w Kijowszczyźnie. Ruch ten nosi wyraźnie narodowy charakter. Tak jak delegat wciąż wskazywał ludność nadal uważa Petlurę za swego wodza, jest on tam już legendową postacią.

Jeśli w Kijowszczyźnie, gdzie pomimo wszystko żywe są tradycje Kozaczyzny, ruch ukraiński przejawia się przede wszystkim w formie walk zbrojnych, to w Połtawsczyźnie przeciwnie w formach bardziej spokojnych — biernego oporu. Natomiast kwitnie tam praca kulturalna. Połtawczyzna zawsze była Piemontem ruchu ukraińskiego. Dziś tam, jak mówił de-

legat z Połtawszczyzny, niema wsi, w którejby nie było od dwóch lat szkoły ukraińskiej. Gdy przyszedł Denikin i oświadczył, że żadnej Ukrainy niema i zaczął zamykać szkoły ukraińskie—ludność żywiłowo od niego odsunęła się. Brak poparcia ze strony ludności ukraińskiej był jedną z przyczyn jego klęski.

Na Połtawszczyźnie ludność wobec „bolszewików“ stosuje bierny opór, nie uznaje żadnych sowietów i władz sowieckich, ukrywa zboże i t. d.

Cała ludność jest już głęboko uświadomiona narodowo. „Bolszewik“ jest przedewszystkiem „Moskalem“, obcym im psychiką. Tak samo oddziały bolszewickie traktują ludność jako wrogów Rosji, jako „chachłów“. Uderza w przemówieniach i opowiadaniach obu delegatów uwielbienie ludności do Petlury i sympatja dla Polski.

Wojska polskie nigdy tam nie były — Petlura dawno wycofał się. Lecz jest on reprezentantem idei niepodległej, wolnej Ukrainy.

Z każdego słowa tych delegatów, — którzy tygodniami przekradali się do Polski, kryjąc się po lasach i błotach, by dowiedzieć się co myśli Polska, czy chce pomóc Ukrainie, co dzieje się z Petlurą, co myśli on robić—bije głęboka potężna wiara, że Niepodległa Ukraina musi być.

I nie ulega wątpliwości, że będzie ta Ukraina, gdyż dziś idzie tam potężna fala ruchu ludowego — a w ludzie obudziła się świadomość narodowa. Z drugiej strony nadchodzące wiadomości z Ukrainy świadczą, że „bolszewicy“ rozumieją iż ruch ukraiński zdławić się nie da.

Tak naprz. sowieckie szkolnictwo na Ukrainie coraz bardziej staje się szkolnictwem ukraińskim o bardzo wysokim poziomie naukowym..

Wszystko to razem wskazuje, że lekceważenie ruchu ukraińskiego przez znaczną część społeczeństwa naszego jest bardzo szkodliwem dla nas samych. Obok nas rozwija się oto i rośnie potężny ruch, którego my nie widzimy.

A tymczasem należycie go oceniając, przychodząc mu z pomocą możemy zyskać potężnego sojusznika.

Ruch ukraiński jest dziś wpędzony w podziemia.

Ale jutro może znów wydostać się na powierzchnię — i rwać potężnym potokiem. Trzeba o tem zawsze pamiętać.

T. H.

Mój wywiad z panią Madzią.

Praga, w styczniu 1921 r.

Gdy ulicami praskimi przeciąga kapela wojskowa, zachwycam się zawsze widokiem żołnierzyka, który rozwibrowuje powietrze praskie czynelami. Z jakąż gracją czyni to ten niedoceniony artysta! Nie uderza talerzem mosiężnym o talerz, jakby czynił profan, pozbawiony uczucia i fantazji, ale z wdziękiem baletnicy przesuwając lśniący mosiądz w ukos po powierzchni drugiego i brzęczącymi, rozdrzanymi narzędziami muzycznymi posyła dźwięczne całusy ulicy, miastu i światu: *urbi et orbi*.

Cudowny jest taki koncert praski misek mosiężnych z towarzyszeniem orkiestry! Zaś czynelista jest symbolem. Rozwija muzycznie motywy innych... ministrów i mówi światu o tem wszystkim, czego już słowo mówione, krzyczane i drukowane wyrazić nie jest w stanie. A więc o tem jako Czechosłowacja jest Szwajcarią podniesioną do trzeciej potęgi pojedynawczości zamieszkujących ją ludów, wyspą pokoju i demokracji na morzu wytykanej palcem polskiej, węgierskiej, austrijackiej i niemieckiej anarchji, skombinowanej z imperjalizmem, wstecznictwem i rekcyjnym monarchizmem.

Opowiada mi o tych i innych wielkich sprawach pani Madzia, która w r. 1914 ewakuowała się ze Lwowa do Pragi, wyszła tu za męża za emigranta z innych stron Polski, dużo widziała i dużo może opowiadać. Do Pragi przybyła w czasie, gdy dzisiejsi republikanie czescy byli jeszcze monarchistami i ogromnie byli ciekawi, czy korona świętego Wacława nie będzie za małą na głowę jednego z Romanowów. W czasach owych Czesi uporczywie spoglądali ku wschodowi a maglarki czeskie płci obojga zalecały zabijać wiece i robić kielbasy, bo... już idą! Mianowicie bracia Rusowie, którzy szli wówczas na Berlin, Wiedeń i Budapeszt. Wtedy nie ulegało w Czechach wątpliwości, że zachodnie granice Rosji dotykać będą przedmieść Berlina i że Słowianie z nad Wełtawy otrzymają z rąk Słowian z nad Newy wszystko, czego dusza zapagnie. Wtedy żyło jeszcze w całych Czechach marzenie, że wszyscy Słowianie znajdą się razem w jedynym kojcu rosyjskim i dlatego nawet Polaków, tych notorycznych buntowników przeciw matuszcze Rosji, ugłaskiwało się dla milej zgodnej przyszłości tytułem braci. Te czasy pamięta tedy pani Madzia.

W tem miejscu doznaję żywego żalu, że jestem już taki stary i jeszcze nie Wierzyński, abym godnie wyśpiewał cud jej kapelusza z rajerem, błękit, w którym chodzi jak w obłoku, zwodnicze cienie igrające dokoła jej oczu, usta uśmiechające się jak żadne inne w granicach układu słonecznego, złoto jej włosów i to wszystko, czem króluje nad Pepciami Kondelikównami. Podczas obiadu w restauracji albo przy kawie i papierosie w kawiarni pani Madzia mówi mi „jak to było“.

— Najprzód był pan Kramarz, zrzucanie i rozbijanie orłów austrijackich, miłość ojczyzny, jedność narodowa, „Kde domov muj“? i wogóle rewolucja polityczna. Place, ulice, dworce kolejowe i ogrody zaczęto nazywać imionami Masaryka i Wilsona, a potem przypominano sobie z pewnem zakłopotaniem, że już nie pozostał ani jeden most, ani jeden plac czy gmach, który możnaby i należałoby nazwać imieniem albo imionami braci Rosjan.

— Rzeczywiście, jak można było zapomnieć o tak bliskiej sercu sprawie—przyświadczam. — Mała rzecz a przecie wstyd. Pani Madzia waży w paluszkach filiżankę z kawą a w złoto-włosej główce jakąś myśl. Wreszcie podnosi na mnie lazur swych oczu, budzi we mnie wspomnienie jednej z moich najcudniejszych wiosen i powiada:

— Wie pan co? Dzień jest dość jasny, chodźmy na Hradczany.

O cudna, dobra, kochana! Chodźmyż do stu milionów na te Hradczany!—myślę sobie—a na głos powiadam: cudna myśl, chodźmy!

Przez ciżbę ludzi, skłębioną około Mostku, między tramwajami, automobilami i powozami, przewijamy się ku małej uliczce, wiodącej ku szerszej ulicy Rycerskiej i obok starego—doniedawna niemieckiego — teatru, sąsiadującego z czcigodnem Carolinum;—idziemy uliczką Żelazną ku Staromiejskiemu rynkowi.

— Tutaj już jesteście w prawdziwej Pradze. Oto stary Ratusz z osobliwym zegarem, oto prześliczny kościół Tyński, oto pomnik Husa, a tutaj — wskazała ręką — stał prześliczny posąg Matki Boskiej, który republikanie dla szczęścia swej republiki powalili nazajutrz po upadku Austrii.

Staliśmy na Rynku Staromiejskim, a pani Madzia wskazywała mi kolejno jego osobliwości.

— Zna pani dzieje tego Rynku? — zapytałem.

— Owszem, od końca 1918 roku, gdy republikanie odprawiać na nim zaczęli swoje hece i odśpiewywać wszystkie trzy

hymny narodowe. Nie, nie narodowe, lecz ludowe, a może nawet ludowo-klasowe.

— Trzy hymny ludowo-klasowe? — zawolałem zdziwiony faktem niedość mi jasnym.

— Tak proszę pana, trzy hymny. Jest to symbol jedności w troistości, na jaki nie każda byle republika pozwolić sobie może. Wytłomaczę to panu, ale chodźmy dalej. Tylko niech pan jeszcze popatrzy na ten pałac hrabiów Kinskych.

— Czy to osobliwość?

— Bo ja wiem? Może tak, może nie, ale w nim mieści się poselstwo republiki naszej.

— W takim razie patrzę. A długo trzeba patrzeć?

— Tak długo, dopóki panu przyglądać się nie zaczną, bo tam o piętro wyżej są biura policji wojskowej?

— A w Ratuszu niema jakiejś takiej równie wrażliwej instytucji?

— Nie, w Ratuszu niema. Wogóle, Ratusz istnieje niejako dla swego balkonu, który ładnie wygląda w dekoracji pa-trjotycznej albo socjalistycznej. Z tego balkonu przemawiają wszyscy: Kłofáč, Zeminowa, Muna, Sokolowie, legionarze... Oczywiście nie razem, lecz po kolei, różnemi czasy.

— Jest to więc balkon bezpartyjny. Słyszał on pewno ostatniemi czasy dużo wyzwisk pod adresem tego Ferdynanda II, który tuż na nim i przy nim wytracić kazał przywódców powstania czeskiego na początku wojny trzydziestoletniej.

— Tak, tutaj jest strasznie dużo historii, aż duszno od niej, osobliwie w wiosenne przedpołudnia niedzielne, gdy po Rynku rozchodzi się zapach schabu pieczonego.

— Tan zapach schabu pozwolę sobie uważać za prywatną złośliwość pani.

— Niech pan uważa go za fakt. Czesi lubią jeść smakowicie, o czem doczytać się pan może w „Ojcu Kondeliku“, najpoczytniejszej książce czeskiej i w więziennem *menu* oberproletariusza Muni, który troszcząc się o losy komunizmu w Czechach, dobrem jadłem podtrzymywał w więzieniu swego ducha i swoją wiarę. Tutaj zresztą powstała i jest powtarzana głęboka sentencja, że mąż i żona to jedno ciało, ale o dwu żołądkach. I rewolucja tutejsza ma bardzo żywotne hasło: chleba i kina!

— I kina?

— Właśnie. W domu ludowym socjalnej demokracji jest obok drukarni dla pism agitacyjnych także kinematograf. W czasie wojny Smeral, wielki komunista dzisiejszy, starał się być dobrze z Franz-Josefem, aby c. k. policja nie miała

powodu pogniwać się na socjalną demokrację i nie zamknęła czasem tego kinematografu, który daje ludowi *circenses* a jednocześnie dostarcza *panem* temu, co się nazywa partją.

Ale teraz chodźmy już naprawdę na Hradczany.

— Dobrze. A po drodze opowie mi pani o trzech hymnach czecho-słowackich. W jaki sposób doszło do takiej profuzji hymnologicznej, pani Madziu?

— Po pierwsze: naród jest muzykalny, bardzo muzykalny; po wtóre: jest mały i chce być, jeśli nie wielki, to większy; po trzecie: naród jest lud, jest klasa, rewolucja jest w modzie, a rewolucja musi mieć swoją karmanjole.

— Hm... Musi mi pani wytłomaczyć, w jaki sposób naród mały przy pomocy hymnu staje się większym.

— Na początku były Czeszy i byli Czesi, była też Słowaczyna i byli Słowacy. Czesi śpiewali „Kde domov muj“, a Słowacy śpiewali „Nad Tatrá se błýská“. Gdy z Czech i Słowaczyny powstała Czechosłowacja, a z Czechów i Słowaków Czechosłowacy, wówczas powinien był znaleźć się kompozytor, który byłby zdekomponował oba hymny i rekomponował je w jeden. Powinien też był znaleźć się poeta, który byłby ze słów obu hymnów ułożył jeden. Ponieważ dotąd do tego nie doszło, więc Słowacy mają hymn autonomiczny, jako zaliczkę na autonomję polityczną, którą Czesi obiecali im w Ameryce, a której nie spieszą się realizować w Europie.

— Więc teraz śpiewa i grywa się oba hymny?

— Tak i oczywiście, po kolei. Ponieważ zaś hymny są bądź co bądź nacjonalizmem, z którym walczy socjalizm, przeto po obu hymnach socjaliści dośpiewują zwykle trzeci: „Czerwony Sztandar“.

Szliśmy przez most, który dawniej nosił miano jednego z dynastów Habsburskich, obecnie zaś nosi imię poety czeskiego, Svatopluka Cecha.

Droga na Hradczany należy stanowczo do bardzo malowniczych. Rewolucja 28 października wtargnęła tutaj z hałasem właściwym wszystkim rewolucjom i wypłoszyła stąd cienie królów czeskich i cesarzy austrijackich. W komnatach królów i książąt, w buduarach wielkich dam — ach, gdzie są niegdysiejsze śniegi? — siedzą obecnie ludzie nie z bożej łaski i niezawsze z woli ludu, trąkając maszyny do pisania, brzęczą dzwonki telefonów. Wielcy i możni świata tego budując dla siebie te wspaniałe siedziby nie pomyśleli ani razu, że budują gmachy dla ministerjów republiki czechosłowackiej i pałac dla prezydenta. Ku Hradczanom spoglądają zawistnie całe czeredy okazjonistów politycznych i czekają swojej kolei.

Dzisiaj naród czeski jednoczy się przynajmniej w szacunku dla prezydenta Masaryka, człowieka mądrego i dobrego, który z polityki usiłuje zrobić moralność. Samem istnieniem swej wybitnej indywidualności Masaryk panuje ale, niestety, nie rządzi. Rządzą ambitne partje, a raczej przeciętni i lisi ich przywódcy. Okazjoniści!

Szliśmy krokiem wolnym wspinając się na wzgórze hradezańskie, a pani Madzia wskazując mi poszczególne pałace odczytywała napisy, obwieszczające, jakie mieszczą się w nich ministerja.

Spojrzelśmy z wysokości królewskich Hradczan na republikańską Pragę i oniemieliśmy na chwilę wobec wyjątkowo pięknego widoku. Z prawej strony mieliśmy miłe wzgórze Petrzyńskie z miniaturą wieży Eifla, która obecnie służy radiografji republiki i dowiaduje się przedewszystkiem o tem, cożego dzieje się w „bratniej” Warszawie, dalej widniała ładna brama i kościółek klasztoru Strahowskiego, z lewej schody zamkowe, wiodące w głąb ciasnej spadzistej uliczki.

— Ach, tutaj tylko wiersze pisać! — westchnąłem lirycznie.

— Niech pan tego nie czyni — ostrzegła mnie pani Madzia — bo napewno napisze pan piosenkę polityczną. Widzi pan Hradczany rządzą Czechosłowacją, ale Hradczanami rządzi ulica praska. Tam w dole wiecują na placu Václavskim i pod pomnikiem Husa, przed redakcjami gazet i gdzie się zdarzy. I uchwalają rezolucje. A panowie, którzy po barkach ludu weszli na Hradczany i siedzą w fotelach władców, słuchają głosu ludu, wiedząc, że jest to głos boży. Gdy cukier drożeje, lud manifestuje i fotel któregoś z panów ministrów pochyla się na bok; gdy bolszewicy szli na Warszawę, lud manifestował na cześć Rosji, zatrzymywał pociągi, idące do Polski, wznosił okrzyki na cześć Lenina i Trockiego, a inny pan minister obwieścił światu, jako Czechosłowacja jest i będzie neutralna. Neutralność podobała się ludowi w czasie zwycięstw bolszewickich, ale gdy karta odwróciła się i Polacy ruszyli naprzód, lud manifestował znowu, ale tym razem przeciw wojnie.

— Kochają tu Rosję, jak kochają Anglię, Francję, Amerykę — zauważyłem. Im dalej przedmiot miłości, tem żywsza miłość czeska. Bliskich Niemców, Madziarów, Polaków Czesi nie kochają.

— Tak, to prawda. Nawet przekonania polityczne tem żywiej nienawidzą się tutaj, im bliższemi są sobie. Tak na przykład lewica socjalnej demokracji krwawo pokłóciła się z prawicą tej samej obserwancji, zabrała przemocą dom ludowy,

gazetkę bez charakteru i co najważniejsza kinematograf. Pan Tusar ze swoim gabinetem upadł, a ponieważ zrobiło się istne piekielko i nikt nie chciał porządkować zamętu dla kogoś innego, więc powstał gabinet fachowy. Gdy ten gabinet uspokoił wzburzenie i zaprowadził porządek, dawni władcy wrócą na swoje fotele i zaczną się od nowa sprzeczka o to, czyj socjalizm jest lepszy: czy pana Smerala oparty o Moskwę, czy pana Tusara, oparty o Berlin. A lud będzie wydierał sobie domy ludowe z kinematografami, a gazetki drukować będą pamflety, a policja będzie interwenjowała, a wojsko będzie dawało się rozbrajać albo będzie strzelało, a gabinety będą podawały się do dymisji.

Chciała pani powiedzieć zapewne, że Tusar opiera się o Londyn lub Paryż, a powiedziała pani: Berlin.

— Powiedziałam, jak jest istotnie. Francja już nie jest tu taka kochana, jak była i już nie kocha tak jak kochała. Za często wznoszono tu okrzyki na cześć Lenina i zbyt żywo podchwytywał te okrzyki pan Benesz, minister spraw zagranicznych. Czesi będą musieli tem żywiej kochać Rosję, jako swą wielką predestynowaną opiekunkę.

— A mała Ententa?

— Już jej niema, bo Rumunja zostaje stanowczo na ubożu; czy też jeszcze jej niema, bo dotad jest tylko sojusz jugo-słowiańsko czeski.

— A więc redukcja snów o potęgde? W związku z tem niemiłemi staną się dla Czechów zaprosiny naszego Naczelnika Państwa do Francji.

— Czesi czekają jak im to zaproszenie wytłumaczy pan Benesz, a pan Benesz stara się pewno przeniknąć za odpowiednie kulisy.

— Swoją drogą, pani Madziu, niedługo zaczniesz tu być nudno. Komunistów poarsztowano, pomniki Habsburgów poobalano, dom ludowy z kinematografem przeszedł znowu w ręce prawnicy, cukier tanieje...

— Proszę pana, tutejsi politycy, żyjący dla dobra ludu, znowu coś dlań znajdują. Można przecie oburzać się na Niemców, donosić o możliwym, ba, nawet gotującym się napadzie Polski na Cieszyńskie lub Węgier na Słowacyznę, można wykrywać wielkie spiski reakcji międzynarodowej i stawać na straży wolności ludu. Polityka jest niewyczerpana.

— Dziękuję pani. Jestem zupełnie uspokojony i nie obawiam się, że Czechosłowacja zaśnie z nudów. Przeciwnie, zaczynam wierzyć, że zabawa będzie tak hulaśliwą, jak w starej Austrii.

Pospacerowaliśmy po Hradczanach, popatrzyliśmy na Pragę z różnych stron, stwierdziliśmy że jest naprawdę „stovežata“, co się wykłada jako Stuwieżowa i powróciwszy na plac hradczański, ruszyliśmy schodami zamkowemi w dół.

Zrobiło mi się żal, że rozmawiałem z piękną panią Madzią nie o tem, o czem należało. Stawiając nogę za nogą na stopniach kamiennych, zbliżyłem się ku niej nieco.

— Proszę pani — zacząłem i urwałem zakłopotany.

Zwróciła ku mnie pytające oczy.

— Pani Madziu...

— Słucham—rzekła z cudnym uśmiechem, którym wytrąciła mnie zupełnie z równowagi.

— Czy... czy przyjdziemy tu jeszcze?

— Na rozmowę o polityce? — roześmiała się.

— Niekoniecznie o polityce.

— Może przyjdziemy.

— Dziękuję pani.

Z za obłoków strzelił złoty promień słońca, pojaśniało dokoła, a pani Madzia, która wyprzedziła mnie nieco, szła w aureoli swych jasnych włosów, błękitna jak dzień wiosenny zbląkany w szarości zimy.

Tomasz Gruda.



SPRAWA WOJSKA.

Z dni wielkich klęsk i wielkich zwycięstw.

Nasz Korpus Oficerski.

VIII.

Główną masę naszego korpusu oficerskiego stanowią oficerowie z b. armji państw zaborczych, przedewszystkiem z byłej armji rosyjskiej i austriackiej, z niewielką domieszką oficerów armji niemieckiej. Pod względem liczebności na dalszym miejscu stoją oficerowie Legionów Polskich i Wschodnich i wreszcie oficerowie wychowani w szkołach wojskowych już po odzyskaniu niepodległości. W obrębie poszczególnych grup

naszych oficerów istnieje również duże różnicowanie, bo przecie nie trzeba zapominać, że co innego jest oficer zawodowy jednej z byłych armij państw zaborczych, a co innego rezerwowowy, który zaledwie krótki czas spędził w szeregach armji rosyjskiej albo austriackiej i poszedł tam z musu i przeważnie z ogromną niechęcią. Oficerowie zawodowi z byłych armij państw zaborczych weszli do naszego wojska z marką fachowości i opatentowania na jedynych u nas rzeczywistych znawców zawodu wojskowego, przeciwstawianych innym oficerom-dyletantom, którzy nie ukończyli żadnej regularnej szkoły wojskowej przed wojną, a całą swą wiedzę zdobyli w czasie wojny. Na tle tej fachowości i dyletantyzmu powstawały i powstają tarcia wśród oficerów, które wojsku wyrządzają nieobliczone szkody. Bo wyobraźmy sobie stosunki służbowe, gdzie na czele jakiej wyższej jednostki bojowej, armji czy dywizji, stoi oficer z byłych legionów polskich a dowódcą podległej mu dywizji albo brygady będzie stary fachowy oficer, który odbył kampanję mandżurską albo brał udział w okupacji Bośni i Hercegowiny, a w czasie wielkiej wojny dowodził jaką wyższą jednostką regularnej armji. Naturalnie rozkazy idące z góry muszą niejednokrotnie spotykać się z uprzedzeniem i niechęcią w zrozumieniu i wykonaniu.

Sam byłem świadkiem przykrej sceny, gdzie jeden z dowódców większej jednostki bojowej w obecności oficerów swego sztabu w ostrych słowach charakteryzował rozkazy idące z góry i podpisane przez generała nie mającego patentu na fachowca. Uprzedzenie i niechęć była wywołana nie doskonałą zresztą treścią i formą rozkazu, ale dlatego, że wydał go oficer opatentowanego wykształcenia wojskowego. W tych warunkach nie mogło być mowy o skrupulatnem i solidnem wykonaniu rozkazu—i mam wrażenie, że bodaj przez to niepowiodła się jedna operacja bojowa, do której Naczelne Dowództwo w okresie odwrotu przywiązywało bardzo wielką wagę.

Kwestja dyletantyzmu i fachowości naszych oficerów tak często poruszana w prasie przez czynniki pozbawione koniecznego w tym wypadku obiektywizmu, moim zdaniem, są dzisiaj najzupełniej bezprzedmiotowe i tylko ją w wysokim stopniu utrudnia zrozumienie istotnych niedomagań naszego korpusu oficerskiego i właściwych sposobów jego naprawy. Bo przedewszystkiem—czyż na dobrego oficera w ogólności, a przedewszystkiem na oficera polskiego, dostateczną kwalifikacją może i musi być tylko patent akademji wojennej jednego z państw zaborczych? Czy poza gruntowną wiedzą fachową oficer nie musi posiadać innych niemniej waż-

nych cech umysłu i duszy, a przede wszystkim tego, co nazywamy *siłą woli i charakterem*.

Dobry oficer musi być przede wszystkim wychowawcą żołnierzy i dowódcą, a do tego najbardziej potrzebny jest charakter, silna wola, poczucie obowiązku, takt. Zrozumienie duszy żołnierza, a w boju inicjatywa i zimna krew, —to są wszystko właściwości wrodzone, których nie zastąpi najgłębsza nawet wiedza fachowa i znajomość sztuki wojennej. A mam właśnie wrażenie, że w wychowaniu i kształceniu oficerów zawodowych b. armji rosyjskiej i austriackiej o tem zapomniano najzupełniej. Zresztą posłuchajmy co np. o zawodowych oficerach bylej armji austro-węgierskiej mówi generał Cramon, podczas wielkiej wojny przedstawiciel armji niemieckiej w głównej kwaterze austriackiej (v. Cramon: Unser Ostr. ungarisches Bundesheer Str. 105): „Przy wychowywaniu oficerów zaniedbano wyrabianie woli, bo więcej ceniono wiedzę. Wychowywano raczej obowiązkowych podwładnych, a nie samodzielnych, świadomych swej woli przełożonych; systematycznie przyzwyczajano oficerów do tego, że się jest zależnym i kierowanym. Również w sztabie generalnym rozstrzygała przede wszystkim wiedza; znakomicie potrafiono opanować formę prowadzenia wojska i wydawania rozkazów, ale bardzo słabo zapoznano się z tem narzędziem, przy pomocy którego można było wiedzę wyzyskać“.

Wśród oficerów zawodowych b. armji rosyjskiej pod tym względem panowały jeszcze gorsze stosunki. Dzisiaj już przecie stało się powszechnie uznaną prawdą, że kampanję Mandżurską Rosja przegrała głównie dzięki nieudolności dowódców, wyróżniających się brakiem wszelkiej inicjatywy, wszelkiego poczucia odpowiedzialności i siły woli. To samo powtórzyło się w ciągu wielkiej wojny. Znamienne są słowa podpułkownika Tettau'a w jego bardzo ciekawej książce pod tytułem „Kuropatkin und seine Unterführer“: „Wiemy—powiada podpułkownik Tettau—że Kuropatkin i jego podwładni, byli znakomitemi generałami w czasach pokoju, że naczelny wódz rosyjski przed wojną świetnie prowadził manewry cesarskie, że nawet zagranicą zyskał sobie sławę doskonałego generała. Ale gdy nadeszła godzina poważnej próby i gdy chodziło o powzięcie decyzji pełnych odpowiedzialności, od których zawisała dola i niedola armji i ojczyzny, wówczas okazało się, że Kuropatkinowi i jego podwładnym zabrakło tego, co cechuje prawdziwego wodza“.

Rosja przegrała dwie wojny nie dlatego, by jej armji brakło wiedzy fachowej—ale dlatego, że wśród dowódców nie

było ludzi o wielkich i silnych charakterach. Jeżeli za nasze klęski i niepowodzenia latem r. 1920 dużo odpowiedzialności spada na korpus oficerski, to nie dlatego, by nam brakło fachowości, by rozpanoszył się dyletantyzm, lecz dlatego, że nie było więcej silnych i wybitnych charakterów.

Analizując gruntownie i obiektywnie jakąkolwiek z niedanych operacyj latem 1920, zawsze stwierdzimy, że jedynym z czynników rozstrzygających niepowodzeniu był brak inicjatywy, przedsiębiorczości i chęci wzięcia na siebie odpowiedzialności przez dowódców. Oficerowie zawodowi z byłych armij państw zaborczych przyzwyczaili się przedewszystkiem do pracy w pewnych uregulowanych warunkach, gdzie się operuje ściśle oznaczonemi i ustalonemi elementami. A u nas właśnie tego nie było,—wszędzie był chaos, brak organizacji, ładu, porządku, normalnych elementów pracy. Ludzie o słabych charakterach właśnie w tych warunkach znajdowali doskonałe usprawiedliwienie dla swej beczynności, mogąc zwalić odpowiedzialność na okoliczności albo na innych.

Wśród wielu naszych oficerów, nie było niestety tego przekonania, że im więcej braków ma nasza armia, tem usilniej musi każdy pracować, tym większa suma odpowiedzialności spada na każdego.

Symptomatycznem było odrzucenie przez jednego z wybitniejszych naszych oficerów propozycji odpowiedzialnego stanowiska dlatego, że w naszych warunkach objęcia nie może brać odpowiedzialności za stan powierzonego mu oddziału.

T. Różycki.

Światła i cienie.

(Organizacja pokojowa armji).

Czy wiosna nową wojnę przyniesie czy też nie — nie wiadomo. Faktem jest jednak, że wre gorączkowe przygotowanie w armji polskiej — do kampanji pokojowej. Przygotowuje się organizacja pokojowa armji, a więc reorganizacja sięgająca do najgłębszych pokładów oficerskich. Wieści o tym przenikają wszędzie i budzą — w każdym razie — zastanowienie, a nawet otwarcie mówiąc — obawy. O tych właśnie zastrzeżeniach, o tych wątpliwościach, które w umysłach ludzi myślących o życiu wewnętrznym wojska naszego powstają, jako były oficer,—cywil obecnie, chciałbym słów kilka powiedzieć. Wierzę, że staną się one pewnym materiałem dla

tych, którzy z konieczności sprawę organizacji armji ujmają z punktu widzenia całości, generalnie niejako.

A więc sprawa korpusu oficerskiego w czasie pokojowym. Jasnymi są tu trzy pewniki: 1) że w czasie pokojowym podporucznicy nie pozostaną dowódcami baonów, sierżanci—dowódcami kompanji, a nawet, jak się czasem zdarzało na froncie—porucznicy i kapitanowie—dowódcami pułków; 2) że oficerowie starzy, bezużyteczni generałowie i pułkownicy, których istotnie posiadamy nadmierną ilość, jako spadek po wszystkich zaborcach, — przejdą w stan spoczynku; 3) zatem—że reorganizacja armji będzie niemal równać się organizowaniu jej na nowo. Punkt 3-ci jest wnioskiem z dwu poprzednich.

Ale w tym jest sedno rzeczy. Armja będzie jakby organizowana na nowo, — a więc, — będzie to niejako przekreślenie *doświadczeń* całej wojny polskiej. Umyslnie i z naciskiem używam tu słowa: *doświadczeń*. Doświadczenie bowiem i bieg całej wojny doprowadziły do tego, że dywizjami w znacznej części dowodzili pułkownicy i podpułkownicy, pułkami zaś przeważnie majorowie i kapitanowie. Najwyższe szarże sztabowe (etatowi dowódcy dywizyj i pułków) generałowie i pułkownicy—którzy pamiętali to tylko, co wynieśli ze szkół wojskowych i szkół sztabowych z przed lat 30—20 — znajdowali przytułek po DOGenach, urzędach i innych zafrontowych formacjach — a oficerowie młodszy, ale linjowi, pełnili służbę linjową, do sztabów linjowych włącznie. I pełnili ją z wynikiem chyba dobrym naogół, skorośmy wojnę wygrali.

Dziś — z chwilą reorganizacji armji, z chwilą tworzenia z niej armji pokojowej — znaczna część tych oficerów najwyższych przejdzie w oddawna zasłużony stan spoczynku. Aż 50 generałów zostało dymisjonowanych — jednak około 100 ich pozostanie. Pozostanie też odpowiednio liczniejsza ilość pułkowników etc. I nimi będą obsadzone dywizję, ewentualnie pułki. To jest także rzecz zrozumiała i poniekąd słuszną. Co innego jest dowodzenie pułkiem na froncie, a co innego dowodzenie pułkiem w okresie pokojowym, w związku z akcją wyszkolenia. Tu niektórzy kapitanowie, dowódcy pułków na froncie, zawiedliby. To rzecz jasna.

Ale czy nie zawiódą pułkownicy i generałowie?

I to jest zagadnienie — o które mi chodzi. Jeden ze starych sztabowych oficerów armji zaborczej otwarcie mi się przyznawał, że przecież o tych rzeczach, których się w szkole uczył, dawno już zapomniał, a że w czasie wojny niedługo stosunkowo był na froncie, więc niewiele teraz zdołał się nauczyć. To fakt i takich faktów jest doprawdy więcej.

Gdy więc i oni zawiodą? A zawiodą przede wszystkim brakiem bezpośredniego kontaktu z żołnierzem—i brakiem życia się ze swymi podkomendnymi, co mogło dać tylko wspólne przeżycie na froncie.

Tę rzecz należałoby rozważyć. Bo tu chodzi o „morale” wojska, o zaufanie żołnierza do dowódcy. Gdy były chwile najcięższe — wszystko jedno czy gdy żołnierz głodował, czy gdy gotował sobie kurczęta i gęsi po wioskach, ale gdy w ofensywie czy odwrocie walki toczył — widział jako swego dowódcę owego kapitana czy majora. Gdy wrócił do kraju, albo gdy linię demarkacyjną ustalono, ujrzy nagle przed sobą nowego dowódcę, którego dotychczas nigdy obok siebie w ogniu nie widział. I dowie się, że to on, ten oficer, który dotychczas na front nie mógł się dostać (bo sprawiedliwość przyznać każe, że nieraz nie z własnej winy oficerowie ci frontu nie poznali, co zresztą znów nie jest zarzutem pod adresem kierowniczych elementów wojskowych) ma go kształcić i wychowywać na żołnierza armii pokojowej Rzeczypospolitej. To na „morale” żołnierza i na osiągnięcie dodatnich wyników w zakresie wyszkolenia i wychowania wojskowego nie wpłynie. Tych słów kilka—ku rozwadze — decydujących czynników wojskowych.

Tadeusz Świąciecki.

Z ŻYCIA ŻOŁNIERZA:

Praca Kulturalno-oświatowa w 15 Dyw. Wilk. Z chwilą powrotu dywizji z frontu do kraju rozpoczęła się intensywna praca oświatowa, prowadzona przez oficerów oświatowych z wibitnym współudziałem instruktorek S. P. i O. Powstał już cały szereg kursów z programem przystosowanym do potrzeb żołnierza wielkopolskiego,—chodzi głównie o nauczanie języka polskiego i historii Polski. Zainteresowanie i chęć do nauki wśród żołnierzy znaczna, choć służba garnizonowa i ćwiczenia wojskowe utrudniają, systematyczną naukę, na którą dotąd nie wyznaczono jeszcze stałych godzin. Lekcje prowadzą instruktorki oświatowe i podoficerowie, t. zw. kierownicy oświatowi. Kierownicy ci są najczęściej ludźmi niefachowymi, wobec czego instruktorki, przeważnie nauczycielki, w godzinach specjalnie na ten cel wyznaczonych, udzielają im wskazówek metodycznych i opracowują z nimi poszczególne lekcje. Projekt kursów oświatowych dla podoficerów spotkał się z ich strony z ogromnym zadowoleniem; okazało się, że wielu z nich rozpoczęło już naukę drogą samouctwa, a kursy ułatwią im teraz pracę.

W dywizji powstały narazie 3 świetlice (w 59 p. p.—20.I, w 15 p. a. p.—25.I, i w 60 p. p.—30.I.). Na terenie świetlic żołnierze grywają w gry towarzyskie, czytają gazety i książki, pisują listy, organizują chóry, wypożyczają książki. Daje się tu zauważyć zainteresowanie poważniejszymi rzeczami—żołnierze chętniej np. wybierają sobie książki naukowe, niż beletrystyczne. Projektowane są w świetlicach pogadanki, odczyty i tea-

try amatorskie, głośnie czytanie dyskusyjne. Żołnierze zbierają się tu bardzo chętnie, choć z początku odnosili się do nieznannej im instytucji z pewnym niedowierzaniem.

Noclegi. Jeden z oficerów będąc często w podróży służbowych odsyłany był przez komendy placu do brudnych zwykle i niesympatycznych pod każdym względem lokali. Jakże miło był uderzonym, gdy przejeżdżając ostatni raz przez Łomżę został odesłany nie do hotelu, lecz do gospody oficerskiej przy komendzie placu. Skromna to była gospoda. Ściany czyste, sześć tapczanów z siennikami, prześcieradłami i woda do mycia. Cóż więcej potrzeba? Taki swojski lokal jest tysiąc razy miłszym od wstrętnych hoteli, gdzie człowieka przyjmują niechętnie i dokąd żeby trafić można nogę złamać. Inicjatywa dowódców placu garnizonów prowincjonalnych powinna iść za przykładem Łomży.

ŻYCIE.

PRACE NA DZIŚ I JUTRO:

INICJATYWA.

Oficerowie bardzo wielu garnizonów prowincjonalnych narzekają na brak życia towarzyskiego i kulturalnego. Tym tłómaczy się ogromna sympatja „z nudów“ do kart i kieliszka. Całą zaś winę braku środowisk kulturalno-towarzyskich składają na władze centralne lub często swoich dowódców. Jest to według nas stanowisko nieuzasadnione, przejęte od państw żyjących pod każdym względem systemem centralnym. Żadna władza, żaden rząd nie jest w stanie wykonać prace aż do najdrobniejszych wymagań swoich obywateli. Tutaj przede-wszystkiem decyduje inicjatywa od dołu.

Wszak urządzenie czytelní, biblioteki, bilardów, gry w szachy, koncertów i teatru amatorskiego jest tylko możliwem przy szczerych chęciach i staraniach miejscowego korpusu oficerskiego. A prowincja (Zambrów, Łomża, Ostrów i t. d.) na brak lokali na te cele narzekać nie może, bo szeregi pustych sal aż się proszą, by je użyć dla podobnych celów.

Co do powyższego mała wskazówka praktyczna: nie należy robić wszystkiego odrazu, gdyż wtedy istotnie nie będziemy nic w stanie zrobić. Zacząć można dajmy na to od udekorowania sali i urządzenia czytelní — lub też publicznego przedstawienia amatorskiego. Można wreszcie stworzyć Koło sportowe, a dochody wpisowe składać na rozwój Klubu oficerskiego. Wszelkie pomocnicze akcesorja, jak dekoracje, upiększenia i t. p. należy o ile możliwości stwarzać samemu

a dopiero w razie ostatecznym zwracać się o pomoc do władz centralnych. Nie mając własnej trupy amatorskiej należy postarać się o gościnne występy artystów zawodowych lub amatorów z miast większych, jak Warszawa i Łódź. To napewno w miastach spragnionych rozrywek opłaci się i da nawet jakiś dochód.

Jeżeli to wszystko zawiedzie, to przecież koła sportowe zastąpić mogą doskonale brak muzyki i teatru. Przecież oficer piechoty może się uczyć jazdy konnej, a wszyscy szermierki najbardziej rozmaitych rodzajów, strzelania, tenisa, gry w piłkę nożną i t. p. Ten ostatni dział (tennis i piłka nożna) tak bajecznie rozwinięty wśród korpusów oficerskich zachodu, u nas leży nietkniętym. A przecież wytknięcie i wysypanie choćby żwirem placu tenisowego, zbudowanie siatki i kupno piłek nie jest czemś tak dalece kosztownem. To jest rzecz zupełnie możliwa. W pewnych dniach i godzinach plac tenisowy i piłka nożna może być nawet wynajmowaną dla obywateli cywilnych. To da też pewien zwrot kosztów.

Oficer zachodu czyta, myśli, sportuje namiętnie, uprawia boksy—a u nas? U nas narzeka się na brak organizacji! No ale przecież tenis, boksy i piłka nożna to już chyba leżeć może w kompetencji korpusu oficerskiego danego garnizonu.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA:

Konstytucja w sejmie.

Prawica przeforsowała w sejmie w drugim czytaniu artykuły o senacie, z bardzo nielicznymi ustępstwami. Nadaje to konstytucji polskiej piętno umiarkowane i niekorzystnie odbija się na zaufaniu mas do instytucyj państwowych—oraz na sprawie górnośląskiej. W każdym jednak razie sprawa konstytucji zbliża się ku końcowi, a przez to ku końcowi zmierza też i okres organizacyjny państwa, którego przewleknięcie się tak fatalnie się nieraz odbijał na naszym życiu publicznem.

Pamiętać jednak należy, że nie wolno opóźniać dalszej pracy. Drugie czytanie konstytucji jeszcze nie skończone. W trzecim czytaniu nastąpić mają jeszcze pewne zmiany. Potem jeszcze uchwalona ma być ordynacja wyborcza do nowego, normalnego już sejmu. Sprawy te szybko muszą być załatwione, by jaknajprędzej zebrać się mógł nowy sejm.

Sejm obecny, wybrany w chwili, gdy życie publiczne Polski znajdowało się jeszcze w mgławicy, nie odpowiada już

dzisiejszemu układowi stosunków w kraju. Nie wszystkie nadto dzielnice państwa są w nim reprezentowane. Skład jego z przyczyn powyższych jest tego rodzaju, że niemożliwa w nim jest jakakolwiek zdecydowana większość. Skutkiem tego nie został stworzony rząd, któryby opierał się na silnej większości i był zdolny wystawić i przeprowadzić konsekwentny program polityki wewnętrznej. Odbija się to na administracji, finansach, aprowizacji — a nawet na wojsku.

Tylko nowe wybory i nowy sejm z określoną większością wyprowadzić mogą państwo z niezdolnego stanu życia z dnia na dzień. Do tego niezbędnem jest ukończenie prac konstytucyjnych w najbliższych tygodniach. Pamiętać muszą o tem ci wszyscy, którym na sercu leży sprawa państwa, a nie taka czy inna gra partyjna.

Uznanie Łotwy, Estonji i Gruzji przez państwo polskie nastąpiło nareszcie, ale dopiero łącznie z uchwałą Rady Najwyższej z dnia 26 stycznia. Stać się powinno było inaczej. Właśnie Polska powinna była stać się inicjatorką uznania niepodległości tych państw, bo Polska jest zainteresowana w tem, by Europa zmieniła zasadniczo stosunek swój do tego kompleksu ziem, które zostały po rozpadającym się kolosie dawnego imperjum carskiego. Polska podjęła tę misję, — ale podjął ją tylko oręż polski. Żołnierz polski zawarł pod Dynaburgiem braterstwo broni z Łotyszami, a wkraczając na Łotwę, Białoruś i Ukrainę rzucił tam odezwami swego wodza naczelnego ideję niepodległości narodów. Dyplomacja nie umiała dotąd stanąć na tym gruncie. Pamiętają wszyscy stanowisko Paderewskiego w Genewie na zjeździe Ligi narodów, gdy oświadczając się z najserdeczniejszymi uczuciami dla państw bałtyckich i dla Gruzji głosił jednocześnie przeciw przyjęciu ich do Ligi, bo... nie życzą sobie tego wielkie mocarstwa.

Należy się spodziewać, że fakt uznania obecnie państw tych przez Polskę naprawi stosunki Polski z temi państwami, nadwyrężone przez bezprzykładne w swej niewolniczości stanowisko Paderewskiego. A jednocześnie to doświadczenie stać się winno punktem wyjścia dla zasadniczej zmiany polityki zagranicznej naszej — i pod względem programowym i także pod względem tego, co się nazywa przestrzeganiem godności narodowej.

Z Wileńszczyzny ciągle dochodzą wiadomości o tem, że ogranicza się coraz bardziej prowizoryczna samodzielność tego kraju. Coraz częściej słychać o demobilizacji armji gen. Zeligowskiego. Coraz więcej mówi się o tem, że ciągle odraczany sejm nie zbierze się wcale. Obok czynników Ligi narodów stara się o to usilnie prawica, która w ten sposób zwalcza wszelkie możliwości urzeczywistnienia polityki federacyjnej. Ale w istocie rozwiązanie armji, niezwołanie sejmu, ograniczenie komisji rządzącej do roli li tylko chwilowego czynnika administracyjnego pozbawia Polskę wszelkich atutów wykonawczych na terenie wileńszczyzny — i stwarza perspektywę, że oddana ona zostanie na niepewną grę czynników międzynarodowych, które załatwią ją plebiscytem albo... arbitrażem, na którym możemy wyjść tak dobrze, jak wyszliśmy na arbitrażu cieszyńskim.

Rada Najwyższa w Paryżu zakończyła swe obrady. W stosunku do Niemiec decyzje jej dały nową zwłokę. Rozbrojenie rozłożono na szereg oddzielnych zarządzeń, co do których naznaczono różne terminy. Najważniejsze rozbrojenie „Einwohnerwehry” odłożono aż do końca czerwca.

Demobilizacja Rosji odbywa się tak, jak demobilizacja Niemiec. Na całym terenie państwa sowieckiego tworzy się militarna organizacja „Wsieobucz”, w której ćwiczy się młodzież od lat 16 w rzemiośle wojennym. Kierują ćwiczeniami oficerowie.

Jak widać obaj nasi sąsiedzi nie zasypiają gruszek w popiele i swoją gotowość wojenną opierają na nowoczesnych zasadach powszechnego uzbrojenia. A u nas podobne poczynania nie mogą dotąd doczekać się należytego zrozumienia czynników politycznych.

PRASA:

O Górnym Śląsku.

„Wspólna sprawa” № 4—5. Tygodnik poświęcony Górnemu Śląskowi. Włodzimierz Wakar: „O czym zadecyduje plebiscyt górnośląski?”

Ujmuje głęboko zagadnienie problemu górnośląskiego, dzisiaj już europejskiego znaczenia. Lud który należy rozwojowo, z mowy i kultury, do Polski, przez długie lata związany był z państwem niemieckim. Obecnie ma on zadecydować przez plebiscyt, do kogo chce należeć. W Polsce znajdzie autonomię dla swego kraju, w Niemczech centralizację. Przy Polsce wolność doboru ustroju państwowego zastosowanego do potrzeb tego nawkroś przemysłowego ośrodka, — w Niemczech szablon ogólnopaństwowy. Wolność praw obywatelskich, swobodę języka i kultury otrzyma z przynależnością do Polski, „gdzie obywatel będzie urządził swe państwo dla własnej wygody”, — w Niemczech, gdzie państwo hodzi „dla siebie, dla swych potrzeb obywatela”, będzie się musiał poddać twardej, militarnej organizacji.

Albo i sprawa reformy agrarnej. Wszakże Niemcy są jedynymi obszarnikami na G. Śląsku. Czyż można pomyśleć, żeby zechcieli poświęcić ziemię swoich magnatów dla polskiej ludności? Musieliby wtenczas jednego dnia usunąć większą część ludności niemieckiej G. Śląska; Ogromnie silna argumentacja czcigodnego autora. Tak jest, lud górnośląski nigdy nie dożyje chwili pod władzą Niemców, żeby gleba, na której pracuje, przypadła jemu w przydziale. O olbrzymiej wagi rzeczach zadecyduje plebiscyt, o dobrobycie ludności tubylczej G. Śl., o jej rozwoju. Oprócz tego Niemcy dzisiaj eksploatują G. Śl. po to, by móżdż może w niedalekiej przyszłości zaatakować orężem Zachód. Może za niewiele lat G. Śl. swymi pieniędzmi, wydobytemi z kopalń i fabryk, przyczyni się wydatnie do wybuchu nowej, światowej wojny.

Sposób przeprowadzenia rozumowania autora b. przystępny. A ja-

ka doniosłość tych rzeczy?—Nie zatracą się wcale przytem wartość literacka artykułu. Zrozumiałe dla wszystkich opowiadanie wcale nie zeszepecone pojęciami wyrażonemi na miarę gwary ludowej, co tak razi we wszystkich agitacyjnych artykułach. Piękny, rozumny, przemawiający do duszy sposób, wcale nie wulgarny. Miła właściwość kultury polskiej.

RZECZY RÓŻNE:

Związek Narodów Odrodzonych, t. j. tych, które powstały lub powstają do samodzielnego bytu na gruzach imperjum rosyjskiego i austro-węgierskiego, został zalegalizowany. Związek odbył już szereg posiedzeń organizacyjnych, na których omawiano kwestje programowe, dotyczące się głównie stosunków Polski z tymi bratnimi i serdecznymi narodami. Dwa tygodnie temu n. p. członkowie Związku wysłuchali referatu członka powstańczego rządu kubańskiego, w tygodniu ostatnim rozpatrywano sprawę stanowiska p. Paderewskiego wobec państw bałtyckich i Gruzji, oraz omawiano kwestję cerkwi prawosławnej w Polsce.

Związek ma na czele komitet złożony z reprezentantów wszystkich narodów biorących w nim udział, oraz sekcje. Sekcja polska wybrała zarząd w składzie następującym: redaktor A. Bogusławski, prof. A. B. Dobrowolski; radny m. Warszawy, T. Hołówko; pos. I. Kosmowska, pos. W. Kamieniecki, radca prokuratorji Br. Kutłowski, pos. J. Moraczewski, pos. A. Niedbalski, minister Stempowski, inż. St. Siedlecki, pos. J. Woźnicki, prezes Zw. Sejmików Powiatowych Wł. Wakar, pos. L. Waszkiewicz, red. J. Wołoszynowski.

Organem Związku jest tygodnik „Przymierze”.

WARUNKI PRZEDPŁATY.

Zeszyt	Mk. 10.—	1 strona ogłoszeń	Mk. 1000.—
Miesięcznie z przes.	„ 40.—	1/2 „ „ „	500.—
Kwartalnie „	„ 120.—	1/4 „ „ „	250.—
Na prowincji miesięcz.	„ 50.—	Redakcja i Administracja	
„ kwartal.	„ 150.—	Warszawa, Szpitalna 12 tel. 175-34.	
Zagranicą „	„ 250.—	Konto czekowe 518.	
		Administracja czynna od 9 r.—3 pp.	

Zastępstwo na Stany Zjednoczone: Polish News Agency, 26 Newark Avenue, Jersey City N. J.

Za redaktora: Anna Skwarczyńska.

Wydawca: Jan Dąbkowicz.

WYROBY FARM. LABOR. „AP. KOWALSKI“
W WARSZAWIE, MIODOWA 1.

Ważne dla wojskowych!

ODCISKI brodawki i
skórę zgrubia-
ją na podesz-
wach bezpo-
wrotnie i bez
ból u usuwa „**KLAWIOL**”

Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych.

Bez operacji radykalna pomoc dla najzastarzalszych
i najniebezpieczniejszych cierpień przepuklinowych
u panów, pań i dzieci!

Proszę żądać prospektu gratis i franco od specjalisty c. k.
patent., bandaży przepuklinowych.

M. Freilicha, Lwów, ul. Gródecka 1. 35,
we własnym domu.

Dla pań różnego rodzaju bandaże przepuklinowe spo-
rządza kobieta pod jego nadzorem.

Mitteilungen aus dem deutsch-italienischen Hygiene-Institut,
wydawany w Bazylei czytamy:

„M. Freilich, dobroczyńca ludzkości.

„M. Freilich we Lwowie w Galicji ul. Gródecka 1. 35 leczy
przepukliny, jak nie wielu na kuli ziemskiej. Leczy on w ciężkich
i najcięższych wypadkach, oszczędza biednemu choremu krwawych,
ciężkich i bolesnych operacji, które tak często sprowadzają nieu-
błaganą śmierć. Kuracje Freilicha są prawdziwie cudowne, a jeśli
to wypowiadamy, to znaczy wiele, gdyż jak wiedzą nasi czytelnicy,
jesteśmy poważnymi badaczami i nie nadużywamy tego słowa. Widzie-
liśmy wypadki, które nas w podziw wprawiły, wypadki najcięższego
rodzaju, które zostały uleczone w 2 dniach po przeprowadzeniu ge-
nialnej metody bandażowania.

W takich okolicznościach usprawiedliwionem jest mianowa-
nie Freilicha nie tylko członkiem honorowym, lecz nawet korespon-
dentem naszego Niemiecko-Włoskiego Instytutu higienicznego,
również i udzielenie mu naszego honorowego dyplomu za naukowe
zasługi. W wydaniu luksusowem naszego dzieła „Hervorragende
Aerzte der Gegenwart“ (wybitni lekarze teraźniejszości) poświęci-
my temu wybitnemu mężowi osobny artykuł z ilustracjami kilku
jego znaczniejszych kuracji“.